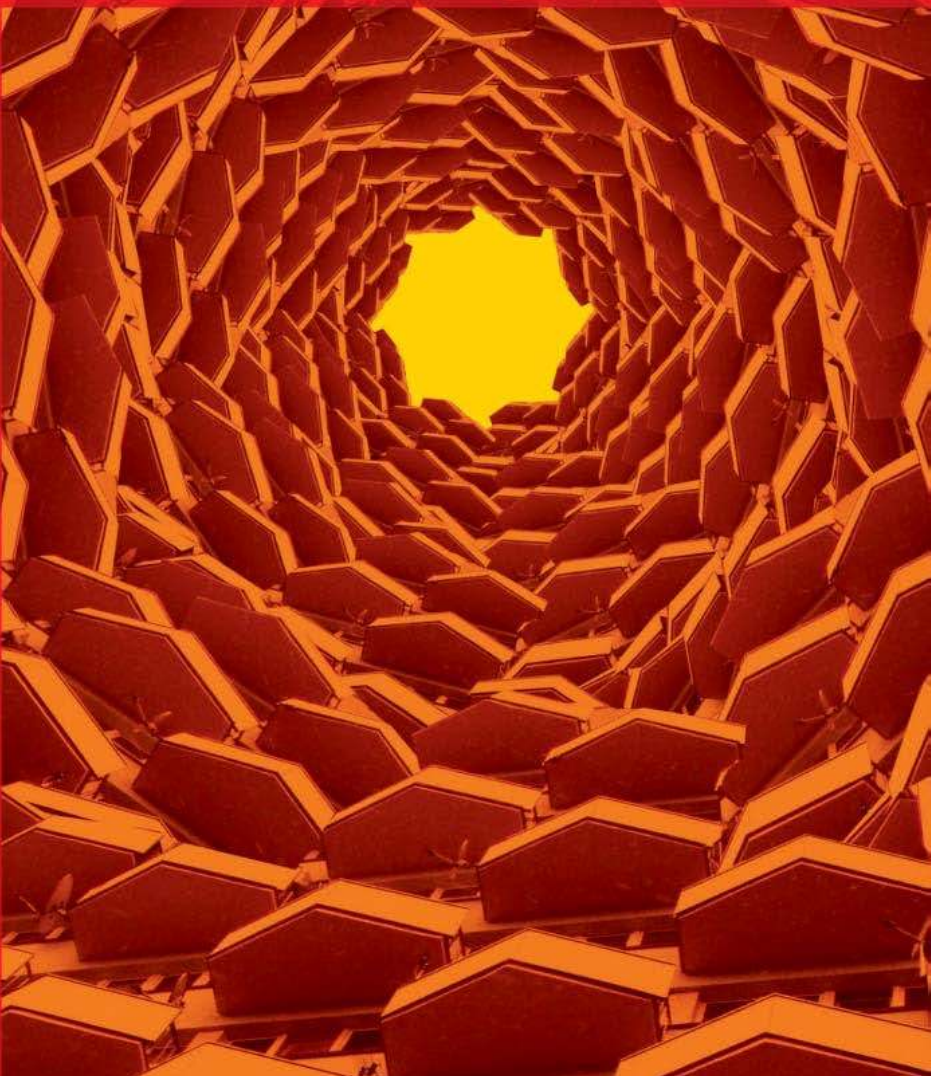
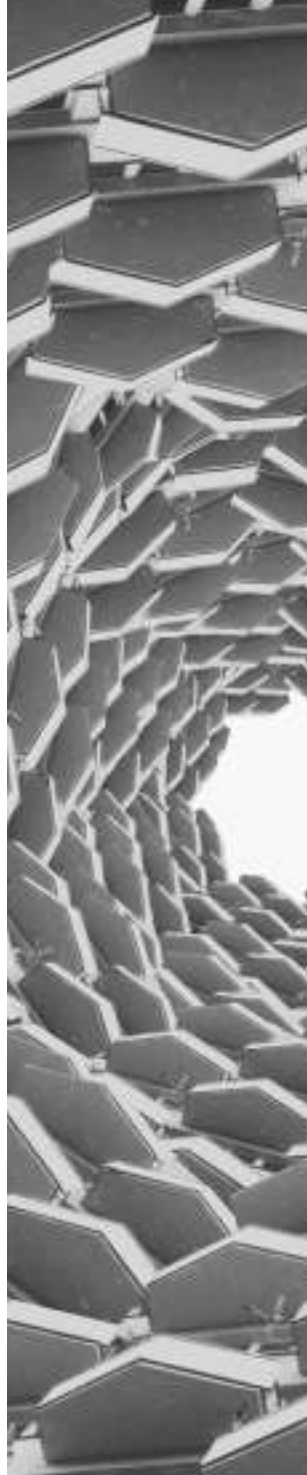


. . . archipelagi . . .

Janusz Rudnicki
Chodźcie, idiemy





. . . w serii ukazały się . . .

- Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*
Dawid Bieńkowski *Nic*
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*
Jacek Dehnel *Lala*
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*
Adam Czerniawski *Narracje ormiańskie*
Izabela Filipiak *Magiczne oko. Opowiadania zebrane*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Mariusz Grzebalski *Człowiek, który biegnie przez las*
Radosław Kobierski *Harar*
Marek Kochan *Plac zabaw*
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Marian Marzyński *Sennik polsko-żydowski*
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Zwał*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*
Marek Soból *Mojry*
Jerzy Sosnowski *Wielościan*
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*
Witold Wedeck *Czarne rondo*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Janusz Rudnicki

Chodźcie, idziemy

Patronat medialny



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Wydanie I
Warszawa 2007

Jeden

Fascynujące, jak to przypadki, zbiegi okoliczności i sytuacje plotą warkocz naszego losu.

Wkrótce zabrmi dzwonek u moich drzwi, wyjdę w kapciach przez próg i nigdy już do swego nowo wynajętego mieszkania nie wrócę. A zdania, które tego dnia wypowiem, będą ostatnimi.

Tego dnia właśnie, dnia drugiego po moim powrocie do kraju, nie miałem co robić. Tak po prostu. Pierwszego dnia robić co miałem, a drugiego nie, nie bardzo.

Pierwszego dnia włożyłem klucz w zamek, który okazał się nie tym. Klucz, nie zamek. Klucz nie ten, a tamten. Do mieszkania tam, skąd wyjechałem, a nie do mieszkania tego, do którego przyjechałem. Biłem głową o drzwi. Żeby mnie zabolalo, żebym zapomniał o tym, dlaczego głową o drzwi biłem. Zapomniałem, ale nie całkiem, zostawiłem walizki pod drzwiami i poszedłem po ślusarza. Ślusarz powiedział, otwierając mi drzwi, żeby tam nie wziął kluczy stąd, bo takie podwójne życie jak moje to jak dwa guzy na jednej głowie. Czym zdziwił mnie srodze, bo niby skąd wiedział, że głowa mi pęka?

Następnie, tego dnia pierwszego, po wejściu do mieszkania pranie zrobiłem. Chociaż nie musiałem. Chciałem uczcić fakt, że jestem w środku. I pranie na balkonie wywiesiłem, chociaż mnie to mierzi. Ale chciałem uczcić fakt.

A dnia drugiego nie bardzo. Miałem co robić. Po obudzeniu się otworzyłem oczy. (Sytuacja odwrotna nie wydaje mi się możliwa.) I tak je otwarte trzymałem. I leżałem, i patrzyłem w sufit. Pytając siebie, co ja tu robię pod tym sufitem, obcym. Poczuję się jak robak. Co nie zmartwiło mnie wcale, nareszcie jakiś istotny powód, pomyślałem, żeby go zalać. Trochę wypięłem więc, potem trochę dzwoniłem. Do tych, z którymi się bawiłem. Żebyśmy się spotkali, na przykład tam, gdzieśmy barki holowali. Nad Odrą, będąc małymi, kiedyś-ach-kiedyś, sznurami niewidzialnymi. I kamieniami rzucali, kto nie dorzuci na drugi brzeg, ten pierwszy umrze, pamiętasz, stary? Jeden pamiętał, ale nie miał czasu, drugi miał czas, ale nie pamiętał.

Mówi się, nigdy nie wejdziesz do tej samej rzeki. Ja wszedłem. Ale co z tego, kiedy wszystko porwały wiry czasu. A woda, kiedyś głęboka, sięgała mi po łydki. I wyglądałem w niej, stojąc, jak pomnik jakiejś zamysłonej czapli.

Siedziałem więc sam, w domu, tego drugiego dnia. A człowiek w domu sam, jak mówi moja matka, którą to ze względu na dwa człony skracam do „MM”, człowiek w domu sam, jak mówi MM, to jak różaniec bez paciorków.

ka. Albo odwrotnie. Usiadłem przy stole, popatrzyłem na ślady po wbitych w niego zębach i co? Ile można patrzeć na ślady po wbitych w niego zębach? No to zacząłem śpiewać, ale ile słuchać można własnego głosu. Pomyślałem, więc może zająć się swoimi rękami? Ale co, wymyć je? Mył je już ktoś z nudów, trzy razy pod rząd, więc co? No to obciąłem paznokcie, naprzód obciąłem sobie paznokcie u rąk, potem obciąłem sobie paznokcie u nóg, obciąłem sobie, krótko mówiąc, wszystkie paznokcie, jakie wyrastają mi z ciała, i co, co dalej? Dalej, żeby dowiedzieć się, jak idzie tam moim nogom w butach, wysmarowałem sobie twarz pastą. I z tą twarzą przed lustrem stanąłem. Czarna pasta do butów wokół wybieliła mi zęby pośrodku. Może się wypolerować i taki odświętny udać się na zakupy? Bo pu-
sto w domu i nic jeszcze nie jadłem po swoim powrocie do kraju. Chociaż MM, w tym samym bloku, dwa piętra pode mną. Oddała mi swoje mieszkanie i przeniosła się na parter, przez windę, co raz działa, a dwa razy nie. Ale co z tego, że mieszka w tym samym bloku, kiedy przez cały dzień śpi? Przez cały dzień śpi, a w nocy nie śpi. Dzień ma za noc, noc ma za dzień. Do sąsiadów wcześniej rano mówi „dobranoc”, późnym wieczorem „dzień dobry”. Tak jej się podoba, żyć po drugiej stronie życia, mówi.

Iść po te zakupy czy nie? A jak rozpozna mnie ktoś? Ale kto? Kto miałby? Ledwo com wrócił i okna rozpakował, żeby mi hołota z sąsiedniego bloku przez walizki nie zaglądała, do firanek. A poza tym samot-

nym przecież, jak teraz te białe moje zęby w lustrze, które nagle, po raz pierwszy, kontekst straciły twarzy, mojej.

Dlatego zdziwiłem się na dzwonek u drzwi, ki diabieł?

Otwieram te drzwi. Listonoszka. Pochylona, szuka czegoś w torbie, a w ustach kwiatek trzyma. I dysząc, przez kwiatek mówi, że

– ta cholerna winda znowu zepsuta, dobry!

– Dobry,

odpowiadam, a ona nagle jak wryta, i jej oczy też. A kwiatek leci w dół, bo jej górna i dolna warga coraz dalej od siebie. To co? To oglądam jej zęby, pełne plomb i drutów, i myślę naprzód o drzwiach, potem o zasiekach, potem o wagonach towarowych, którymi niesie mnie zaraz na wiadomą rampę, innymi słowy, poddaję się asocjacji jak bezwolna szmata, i tak mi czas leci jakoś. Nie nudzę się, tyle przynajmniej. Aż w końcu ona

– to pan?!

pyta, bo widzieliśmy się już wczoraj na klatce, przedstawiłem się, bo wróciłem i mieszkam sobie sam, proszę pani, samotny biały żagiel na trzydziestu metrach kwadratowych powierzchni. Mówię

– to ja, nie poznaje pani? Biały żagiel...

– też mi biały,

ona, a ja zaraz przypominam sobie, o czym zapomniałem.

– Och, myśli pani o mojej ciemnej twarzy? To od gazu w łazience, papierosa chciałem przypalić i żona w tym czasie ciepłą wodę w kuchni odkręciła.

– Pan jest żonaty?

ona na to, a jaka zdumiona!

– Nie,

ja na to, słowami swymi jeszcze bardziej zdumiony. Jaka żona?

– Nie, nie,

powtarzam, powtarzam

– to żart, oczywiście, sam sobie odkręciłem wodę w kuchni i w tym czasie papierosa przypaliłem w łazience...

Zdania w jedną, ja w drugą. Niedrożność przelyku, korek, tama. Jej oczy wybałuszone na mnie, a moje na nią, bo się tak samo sobą jak ona mną dziwiłem. I tak stoimy. A próg nas dzieli. I ten kwiatek, co spadł.

Aż ona przestępuje w końcu z jednej nogi na drugą. Nachodzi się przecież, bołą ją. Ruch nóg uruchamia pozostałą część jej ciała, wraca do siebie i mówi

– czuć tu coś gazem. Paczkę dla pana sąsiada mam, ale pana sąsiada nie ma w domu, mógłby pan jako sąsiad sąsiada paczkę odebrać, sąsiadowi?

– Mógłby. Mógłby chętnie. Odbiorę.

Mam podpisać, że odebrałem, ale

– gdzie? Na czym?

Ona, że

– może na ścianie?

Próbuję raz, drugi, na ścianie, długopis nie chce.

– Tusz uciekł. Trzeba pionowo, pisać, wie pan? Poziomo nie.

Zamyślam się. Recepta na prozę bajecznie prosta. Zamyślam się, głęboko tak, że Listonoszka machać musi mi ręką przed oczyma, żeby wyciągnąć mnie na powierzchnię.

– Halo! Dzień dobry! Tu jestem.

– Pionowo, mówi pani?

– No.

– To może pani wejdzie do środka, bo jak długopis trzymać pionowo, jak kartka też pionowo.

– Nie, nie, zaraz tu coś...

Rozgląda się, ja się rozglądam, aż w końcu

– niech pan podpisze szybko, schylę się,

mówi, i zaczyna się schylać, na co ja, że

– może ja się schylę, żeby pani nie fatygować.

Jej oczy znowu robią się duże.

– Ja mam odebrać paczkę czy pan? Chce się pan podpisać na własnych plecach?

mówi do mnie powoli, niepewnie, i wpatruje się we mnie tak, że czuję się, jakby przed nią stał kto inny. A nie ja.

– No to niech się pani schyli,

powiedziałem, no to się schyliła, jakoś tak tyłem do mnie, a wyszedł wtem na to z mieszkania sąsiad z lewej, kiedy witaliśmy się, powiedział mi, że pamięta mnie jeszcze, jak sikałem do piaskownicy, wyszedł ten Sąsiad więc i wtedy taką głupią, jakąś lubieżną minę zrobiłem, że niby tkwię sobie w tej listonoszce po uszy,

hic et nunc, na co Sąsiad w jakiś taki znak zapytania się zamienił, na co Listonoszka głowę w moją stronę obróciła, po czym pisnęła dziko, widząc mnie lubieżnym, i obraziła się, po czym wyprostowała, ale to z miejsca! A Sąsiadowi wyleciała siatka z ręki, a z siatki wyleciały mu butelki na kaucję, prosto na ziemię, i zbiły się! I Sąsiad nie mógł tchu złapać, aż złapał i pyta

– kim pan jest?

Wtedy przypominam sobie znowu o tym, o czym zapomniałem, że twarz swoją pastą do butów wysmarowałem, szyję też, i uszy, i mówię,

– och, myśli pan o mojej twarzy?

Mówię

– to od gazu w łazience, papierosa chciałem przypalić i żona w tym czasie ciepłą wodę w kuchni odkręciła.

– Pan jest żonaty?

on na to, a jaki zdumiony!

– Nie, nie, to żart, oczywiście, sam sobie odkręciłem wodę w kuchni...

Na co Listonoszka, że ma tego dość, idzie, i że zostawia sąsiadowi zawiadomienie o paczce w drzwiach, i poszła, a Sąsiad? Nic, stoi tylko z otwartymi ze zdumienia ustami, a mnie przecież plomby hipnotyzują, więc znowu niesie mnie po wagonach... Ach, cóż to za porządek, tu! Szkło leży, on stoi, ja stoję, może miotełkę przyniosę? I szufelkę? Ale skąd? Nie mam przecież, niczego jeszcze nie mam, ledwom wrócił, więc on przyniesie, jak najbardziej, nie ma o czym mówić, w koń-

cu to on upuścił, no ale przeze mnie, mówię, nie ma o czym mówić, przyniesie i już. Poszedł i wrócił, z dużą miotłą, bo małej nie miał, i szufelką. I chce zamiatać. Nie ma mowy, ja pozamiatam, on przyniósł, ja pozamiatam. I zamiatam. On stoi, ja zamiatam. Kwiatek widzę, ten, który wypadł Listonoszce z ust. Kwiatek zamiatać? Wątpliwości mam, pytam

– kwiatek zamiatać? To tak, jakby ustrzelić kaczkę i zjeść ją z nabojem. Potrzyma pan?

– Potrzymam. Trochę tu gazem czuć. Ten kwiatek jest sztuczny, to od Słupnika, Listonoszka dzisiaj urodziny ma i jak co roku Słupnik wsadza jej kwiatek do swojej skrzynki.

Zamiatam. On stoi z tym sztucznym kwiatkiem, ja zamiatam. Na kupkę i na szufelkę, ale zawsze mi coś z tej kupki zostaje, jak to w życiu. Z lewej ją biorę, z prawej, zostaje. Szufelkę mi chętnie przytrzyma, tylko co z tym kwiatkiem? Ja trzymam miotłę i szufelkę, on kwiatek, z kwiatkiem przytrzymywać? Głupia solenizantka.

– Dlaczego nie, potrzymam z kwiatkiem, to pan potrzebuje dwie ręce, nie ja.

Fakt.

Zamiataliśmy. Po każdym moim ruchu miotły cofał szufelkę troszeczkę. Przyłapałem się na tym, że jestem teraz określoną częścią pewnej określonej całości. Jedna jej część podsuwa szufelkę, druga nanosi na nią resztki szkła. Nie odzywaliśmy się. Czułem, że zaczął się krępować, czym krępować zaczął mnie. Krępowa-

łem się, krępując się tym, że on się krępuje. I naraz odezwaliliśmy się na raz, obydwaj powiedzieliśmy

– to dziwne.

I jak dwie pralki automatyczne roześmieliśmy się. I jakby było mało, w tym samym czasie daliśmy sobie ręką znać, ja, żeby zaczął mówić on, on, żebym zaczął mówić ja. Jeszcze trochę, a objąłby nas program wirowania, więc przyłożyłem mu rękę do ust i powiedziałem

– teraz pan, ja milczę.

Skinął głową i powiedział

– to dziwne, wie pan, przyszło mi do głowy, kto z nas zaczął krępować się pierwszy. Teraz pan.

– To dziwne, mi przyszło do głowy to samo.

Popatrzyliśmy na siebie niepewnie i znowu zapadła cisza. Po chwili on, ciszę tę przerywając

– to chyba jest tak, że moje skrępowanie jest wynikiem pańskiego,

powiedział, ja zaś z ręką na sercu rzekłem

– z ręką na sercu panu mówię, że chciałem powiedzieć to samo.

Na co Sąsiad z lewej po długiej chwili milczenia

– widzi pan? Stoimy po obu stronach lustra.

Na co ja, również po długiej chwili milczenia

– tego samego.

On

– tak, we dwójkę,

powiedział i nagle zobaczyłem resztkę jego włosów na głowie, bo uniósł kapelusz, o sklepie sobie

przypomniawszy, że czas już na niego, na niego, nie sklep, dobrze, ale co z tym szkłem? Właśnie, co z tym szkłem? On je wyrzuci, u siebie w domu, ach nie, niepotrzebnie się fatyguje, jeśli mu tak do sklepu się spieszy, ja, ja je wyrzucę, a szufelkę i miotłę oddam mu, jak wróci. Zgodził się, jeszcze raz zobaczyłem resztkę jego włosów na głowie, bo raz jeszcze uniósł kapelusz, ruszył do windy, pokręcił poirytowaną głową, powiedział – no widzi pan, jak to u nas jest. Wszystko się psuje.

I schodzić zaczął, i ze schodów krzyknął jeszcze, że kwiatek wsadzi do skrzynki Słupnika i żebym powiedział o tym Listonoszce, jak ją spotkam, że zguba się znalazła, i odszedł, zniknął, a ja?

Ja chciałem wrócić do domu.

I nie mogłem.

Zamknąłem za sobą drzwi.

Zatrzasnąłem się.

Oparłem się o ścianę, szkło wróciło tam, gdzie było, bo ręce mi opadły. Jeśli rzeczywiście jest tak, że los każdego z nas jest bajką napisaną ręką Boga, to książka skarg i zażaleń powinna być moją książeczką własnościową.

I co, ślusarza wołać? Znowu?!

Zatrzasnąć się, oto, co znaczy dosłownie czuć się jak nie z tej ziemi. Oto, czym jest dramat metafizyczny.

Czynszowe mieszkanie, do którego stosunek ma się mniej więcej taki, jaki ryba ma do konserwy, staje się w okamgnieniu ciałem niebieskim większym,

a człowiek, jako jej ciało niebieskie mniejsze, wyrzucony zostaje nagle ze swej orbity. Stąd taki rodzaj paniki, w której nie można wykonać żadnego ruchu. Jak kiedy drzwi odcinają nas od układu, a więc kiedy suma sił zewnętrznych na nas działających równa się zeru.

Oparłem się więc o ścianę, bo zabrakło mi grawitacji. Nieważki, pałętałem się między planetami i wyglądałem przy nich jak idiota, bez skafandra, hełmu, z miotłą, szufelką i kawałkami szkła, latającymi wokół mojej głowy. Ziemia wygląda z zewnątrz nieszczególnie, a na tych innych planetach nic nie ma, chyba. Ziewnęło mi się, raz i drugi. Ziewająca czarna dziura. Z gwiazdą, jakaś gwiazda włąziła mi do ust. Ostrożnie, niepewnie, ale po chwili coraz pewniej, to tu, to tam. Za nią druga, i chichot, a róbcie se, co chcecie. Jakaś trzecia, już nie wiem ile, co mnie to obchodzi. Inne wyjście sobie znalazły, przez uszy, i tak się gonią przeze mnie, takim skrótem, do ust, gardła, przez uszy i znowu do ust. A niech się gonią, te światłoodbijalne kurwy, rzadki ze mnie gość, bo ziemski, woła mnie ktoś? Słupnik.

Słupnik z góry na dół idzie. Na windę klnie.

Słupnik. Na początku siedzieliśmy, w leju po bombie. Lej był naszą piaskownicą, tak dużą, że zgłosić ją można było do *Księgi Guinnessa*. Potem staliśmy, pod klatką. Naprzód staliśmy pod klatką na wysokości klamki, z czasem coraz wyżej nad nią. Staliśmy nawet w niedzielę, po południu, w deszczu, w dziurze niebytu tak dużej jak lej, z którego wyszliśmy. Staliśmy, coś mówiąc, albo nie. Z kluczami na szyi, na białej gum-

ce. W domach nikogo nie było, jeśli ktoś nie pracował w Zakładach Azotowych, to pracował na Blachowni. Słupnik stał dłużej niż ja. Cześć, Słupnik, mówiłem, wychodząc, Słupnik pytał, dokąd, mówiłem, w prawo, albo mówiłem, w lewo, albo prosto, i odchodziłem, na coraz dłużej, aż pewnego dnia nie wróciłem.

Słupnik z góry więc na dół idzie, na windę klnie.

Spod klatki wzięli Słupnika do wojska. Potem chciał pracować w policji, nie przyjęli go. Poprzebijali im opony w nyskach i wdrapał się na słup ogłoszeniowy. Wytrzymał dziewięć godzin i zszedł, palić mu się chciało. Siedział za drobne kradzieże, w więzieniu protestował. Wszedł na dach aresztu, rozebrał komin i rzucał cegłami w okna sądu.

Słupnik z góry na dół idzie. Na windę klnie. Więc
– cześć, Słupnik,
wołam i mówię, głupio, bo nie wiem, co powiedzieć

– ojca ci jeszcze dzisiaj nikt nie pobił,
a on uśmiecha się krzywo i do mnie

– a ty co?

Prawda, zapomniałem.

– A pomalowałem się.

– A po co?

– A, żeby mnie nikt nie rozpoznał.

– Nie rozpoznał? A kto miałby? Zna cię tu kto?

– A ty miałbyś, na przykład.

– A przecież cię poznałem.

– Mnie? A skąd wiesz, że to ja?

- Boś się pomalował.
- Ja? Po co?
- Żeby cię nikt nie rozpoznał.
- Mnie? A kto miałby?
- No ja.
- Ty? A kto cię tu zna?
- No ty, na przykład.

I tak odbijalibyśmy sobie tego ten ping-pong na twardym stole upartej konwersacji, gdyby się Słupnik nie spieszył

– spieszę się, stary, matce muszę z dołu pomóc, sama ledwo wchodzi, a co dopiero z zakupami. Listonoszka już była u ciebie?

– Nie, jeszcze nie.

Kłamię, bo nie chce mi się opowiadać mu, że była, ale ja sobie pastą i tak dalej. Poszedł, stoję, stoję. I słyszę nagle

– Murzyn, spierdalaj do Afryki! Do Afryki, Murzyn!

To dzieci, bachory przeklęte, biegną z dołu do góry, akurat teraz, kiedy się zatrzasnąłem. A żeby wam coś do oka wpadło! I wylecieć to coś nie mogło. I żeby wam matki wyciągały to coś brudną chusteczką. Pół godziny. I żeby to jeszcze bardziej bolało niż piekący ból tego czegoś w oku. Wszystkie jak ja, jakbym rozbił się na małe kawałki. Nienawidzę. Te głowy z odstającymi uszami i wilkami we włosach, te zęby szczerbate. I do czegoś takiego tęsknić, brzydzę się, po mordzie bym się tłukł, że sam dzieckiem byłem, nic nie trwa jednak wiecznie, na szczęście.

– Te, Murzyn, banany prostować!
Ruszyłem się, oni w tył nieco, niepewni.

– Pokazać wam coś?

Pański ruch ręką, że podejść mają, nie bać się. I teraz spektakl, ja, wiatr, pokrywam ich bezmyślne twarze chmurami z ciekawości. Siąść im każę na schodach i w te do nich słowy

– kiedyś dawno temu gonili mnie Indianie, bom czarny. No i uciekałem, uciekałem, i jeden z nich tomahawkiem za mną rzucił.

Oni

– no i?

Ja

– no i do dzisiaj bliznę mam.

– A gdzie?

Rozejrzałem się, odwróciłem do nich tyłem, spodnie rozpiąłem, majtki ściągnąłem i się wypiąłem.

– A tu!

A tu Listonoszka z góry wraca. I znowu kwiatek wypadłby jej z ust, gdyby go miała. Niezręczna sytuacja. Dzieci zarechotały i uciekły, a ona

– co pan robi? Ja pana na policję podam!

A ja

– za co? Za co? Te bachory niech pani poda! Tych szowinistów małoletnich, tych ksenofobów obsmarkanych, te...

Macha na mnie ręką, mija i odchodzi, stąpając po szkle, ale odchodzenie to ciężko jej idzie. Przystaje w końcu i do połowy zżarta przez ciekawość, pyta

– a pan czemu pod drzwiami?

A pan na to, a żona go nie chce wpuścić. No to już teraz całkiem macha na mnie ręką, coś w stylu, że leczyć się mam, i odchodzi, o ty, szelmo, powiedziec chciałem, ale przypomniałem sobie o jej urodzinach i powiedziałem, że w skrzynce Słupnika ma kwiatek, urodzinowy, o którym zapomniała, raz jeszcze machnęła ręką i zostałem sam, na klatce. W klatce. Starożytni Rzymianie używali piórka flaminga, żeby zwrócić to, co zjedli. Mnie podchodziła do gardła rzeczywistość, którą żem sam sobie upichcił.

Stoję z tym szkłem, Słupnik idzie z dołu. Wściekły na matkę, że nie przyszła, wściekły na windę, że nie chodzi, i wściekły na gaz, że go czuć. Pyta

– i co tak stoisz pod drzwiami?

– Bo w domu mi się znudziło.

– Znudziło? Tu też ci się znudzi.

– To wrócę do domu.

– Do domu? Hm.

– Hm.

– A miałbyś coś pożyczyć?

– A ile?

– A cztery bańki.

– A czemu?

– A kolegium muszę zapłacić.

– A za co?

– W Ośrodku Pomocy Społecznej powiedziałem, że ich pozabijam, a budynek wysadzę w powietrze. Zasiłku mi nie chcieli dać.

– Połowę ci pożyczę.

– Połowę?

– No. Połowę. Ale nie teraz, przyjdź wieczorem.

– Wieczorem? A czemu nie teraz?

I tak bez końca z nim można, Słupnik, jak już się dorwie do słów, to tak jak do flaszki, więc

– odcumuj się, Słupnik,

powiedziałem

– odcumuj się,

powiedziałem i Słupnik odszedł. Odszedł, ale wrócił się zaraz, wyrzuty ma, przez matkę, że nie dojdzie z tymi zakupami, ta pierdolona winda, powiedział, może już działa? Wsiadł, kopnął w drzwi i winda ruszyła w dół, widzisz, krzyknął z niej, widzisz?!

Stoję. Idzie matka Słupnika, którą to ze względu na dwa człony skracam do „MS”, idzie MS więc i klnie na Słupnika, że nie zszedł, na windę, że nie chodzi, na gaz, że go czuć, i na zakupy, że ciężkie. Nie poznaje mnie, bo ja, poza tym, wyglądam przecież jak boy hotelowy bez hotelu, dlatego przestraszona lekko mija mnie bez słowa i nie odpowiada na moje „dzień dobry”, dlatego nie mówię jej, że syn zjechał był właśnie windą, żeby pomóc jej nieść, nie uwierzy, stoję dalej, co robić? Do MM, biegnę po schodach w dół, szybko, żeby mnie ktoś nie zobaczył, żeby się nie tłumaczyć, dlatego akurat w papciach, na przykład, przed tymi bachorami, na przykład, ale nie, nie ma nikogo, pukam, ale to nic nie daje, co ma dać, ona zatyka sobie uszy zatyczką do tych uszów właśnie, pukam, nic, drzwi otwiera jakaś

sąsiadka z boku, śmieci wynosi, widzi mnie i głośno artykułując, pyta, czy ja rozumiem po polsku. Pytam ją, czemu się pyta, dziwię się i zaraz dziwić się przestaję, zapomniałem, że się na czarno pomalowałem. Ta pani śpi i nie słyszy, mówi głośno, jakbym głuchy był, czemu ona tak krzyczy? Czemu pani tak krzyczy, przecież ja rozumiem wszystko, pytam ją szeptem, ale ona dalej głośno, bo ta pani za-ty-ka sobie uszy tą... za-tycz-ką, coraz głośniej, czemu pani tak krzyczy, przecież ja rozumiem wszystko, szepczę, może ona nie słyszy, dlatego drze się i mówi jak do idioty, ale ona rozumie, słyszy mój szept i krzyczy dalej, za-tycz-ką, wie pan! Nie wierzy mi, głupie babsko. Słyszy, że mówię w jej języku, ale nie wierzy. Dziękuję jej, chcę odejść, ale ona zatyka sobie nos, krzyczy, że czymś tu na klatce czuć, i czy ja czuję, jakiś gaz albo jakąś pastę do butów. Być może, mówię, ktoś sobie nasmarował buty gazem, i odchodzę, wracam do siebie, znaczy, wracam pod siebie, i co?

I szkło zamiotłem pod wycieraczkę, i co? I do sąsiada z prawej pukam, bo niemożliwe, żeby go w domu nie było, bo jakby wyszedł, toby już wrócił, gdzie tu chodzić, gdzie tu być tak długo? Lokator z kotem, emeryt, podobnie jak ten z lewej, tylko że tamten raczej chudy i wysoki, a ten raczej gruby i niski, ale i jeden, i drugi pamięta, jak do piaskownicy sikałem. Tak sobie żyje człowiek tu, jak ptak w karmniku, powiedział mi wczoraj. Pukam mocno, ostro, chrobocze coś w końcu przy wzierniku, każdy w swojej dziupli tu, każda